

Sokratejska metoda rozmowy

Rozmowa - z przyjacielem, z ukochaną osobą; służbowa, intymna; prowadzona przyciszonym głosem, kłótnia; zdawkowa, szybka wymiana zdań, o wszystkim i o niczym; taka, którą chcielibyśmy przedłużyć w nieskończoność i taka, którą chcemy skończyć jak najszybciej; konieczna, niepotrzebna; światopoglądowa, „reformująca cały świat”; taka, której później żałujemy, kłopotliwa, bezsensowna, nie na temat; taka, na którą czekamy z utęsknieniem i taka, której za wszelką cenę chcielibyśmy uniknąć. Wystarczy? Jak ogromna jest różnorodność naszych rozmów! Może mamy za sobą ważne rozmowy-spotkania, które odegrały znaczącą rolę w naszym życiu. W istotny sposób zmieniły całe nasze życie, nasze patrzenie na świat. Dzięki nim odkryliśmy coś, co na zawsze odcisnęło się w naszych sercach. Jedno, niezapomniane spotkanie, wymiana słów, a wszystko stało się inne.

Filozofia to nie tylko samotne medytacje nad wszechświatem, w oderwaniu od innych. Byli, i nadal są, filozofowie, dla których mądrość rodzi się dopiero w spotkaniu, w rozmowie, w twórczym dialogu (w XX wieku pojawia się kierunek filozofii, określany jako filozofia dialogu – ale o niej pewnie za jakiś czas). Większość filozofów z pewnością by się zgodziła (co w tym środowisku jest niezwykle rzadkie), iż niekwestionowanym mistrzem filozoficznego dialogu był Sokrates (469–399 przed n. Ch.). Postać-legenda, niezwykle filozof, który poniósł „męczeńską” śmierć za swoje filozoficzne przekonania. Niesłusznie oskarżony o wrogość wobec demokracji i podważanie jej autorytetu (oficjalne oskarżenie dotyczyło ateizmu i deprawowania młodzieży), przedkłada śmierć nad możliwość ocalenia życia przez ucieczkę. Chciał do końca zaświadczyć o prawdzie, którą odkrył i nauczał swoim życiem (nic więc dziwnego, że pojawili się pisarze chrześcijańskiego antyku doszukujący się podobieństw między Chrystusem a Sokratesem).

Nas interesować będzie przede wszystkim sokratejski sposób filozofowania, który można nazwać dialogicznym. Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do naszych codziennych rozmów. Bardzo często, mówiąc coś do drugiego człowieka, nie tylko pragniemy podzielić się tym, co czujemy, przeżywamy, myślimy, lecz zależy nam na przekonaniu naszego rozmówcy o słuszności naszych poglądów: „to ja mam rację, a nie Ty i postaram się udowodnić Ci to”. Skąd to zaciekle poszukiwanie argumentów, przykładów, jak najbardziej skutecznych i niezawodnych? Chodzi o zwycięstwo nad poglądami rozmówcy? Czasami niestety tak i to za wszelką cenę. Ile razy sięgamy po argumenty „poniżej pasa”? Wyciągamy osobiste urazy, powtarzamy niesprawdzone opinie, plotki, „grzebiemy” w przeszłości. Tylko po to, by odnieść sukces, zamknąć buzię, skompromitować - liczy się jedynie skuteczność. A prawdziwość moich wypowiedzi? Niestety łatwo może zejść na drugi plan.

Cel rozmów Sokratesa był zupełnie inny. Chciał doprowadzić swego rozmówcę do zbadania duszy – jego duszy, aby mogła zdać sobie sprawę ze swego stanu. To nie on miał przekazać ową wiedzę o duszy (odkryć przed człowiekiem to, co się w nim naprawdę kryje np. za pomocą przenikliwych analiz jego osobowości, czy zachowań). Sokrates tak prowadził rozmowę, aby sam rozmówca do tego doszedł, własnymi siłami. Platon (uczeń Sokratesa) tak pisał o swoim mistrzu: „Kto do niego [Sokratesa] blisko podejdzie w rozmowie, ten już musi, choćby o czymś innym rozmawiać zaczął, chodzić za nim bez ustanku myślami tam i z powrotem, aż wpadnie i musi zdawać rachunek z siebie samego, jakim trybem teraz żyje i jak minione życie przeżył. A jak już raz ktoś wpadł, nie prędzej go puści Sokrates, aż to wszystko z niego pięknie, ładnie wyżył”.

Jak doszedł Sokrates do takiej sprawności w dialogowaniu? Trzeba przyznać, że trochę podstępem. Punktem wyjścia dla niego było... przyznanie się do swojej własnej niewiedzy i ignorancji. W stosunku do swojego rozmówcy przyjmował postawę kogoś, kto ma się dopiero wszystkiego nauczyć. „Nie, ja nie jestem Twoim nauczycielem, mistrzem,

który pozjadał już wszystkie rozумы i teraz zamierza się nimi z Tobą dzielić. To Ty właśnie masz mnie dopiero wszystkiego nauczyć i skutecznie doprowadzić do prawdy”. Sokrates odrzuca tradycyjną postawę polityków czy innych filozofów, którym wydaje się, że już wszystko wiedzą i teraz mają prawo i obowiązek pouczać innych. Wszakże ich wiedza jakże często jest powierzchowna i krucha. Swoją niewiedzę Sokrates zestawia nie tylko z wiedzą ludzką, ale przede wszystkim z wiedzą boską. Bóg jest wszechwiedzący i jego mądrość rozpościera się nie tylko na świat, ale także na moje wnętrze. Sięga najskrytszych, ukrytych myśli mojego serca. W zestawieniu z Jego wiedzą, nawet moja znajomość mnie samego jawi się jako niewiedza. Brzmi to dla nas pocieszająco: tyle razy gubimy się w naszych myślach, rozważaniach, sprzecznych poruszeniach serca! Może tylko Bóg tak do końca wie, co kryje się na samym dnie naszego serca. On najlepiej zna nasze najszlachetniejsze intencje, które czasami potrafimy zakryć naszym rozumowaniem. Wracając do Sokratesa: co za pokora, tak otwarcie przyznawać się do swojej niewiedzy! Jednak ta pokora była także fortelem. Owa niewiedza spełniała bowiem funkcję ironiczną. Sokrates udawał ignoranta, aby potem zaskoczyć swego rozmówcę. Robił wszystko, by uśpić jego czujność, przyjmując sposób jego myślenia. Rezygnował ze swoich poglądów, aby pokazać do jakich błędnych i absurdalnych konsekwencji prowadzi myślenie jego rozmówcy. Wyolbrzymiał jego poglądy aż do granic karykatury, aby sam rozmówca stwierdził nagle: „na wszystkich bogów greckich, jakie ja głupoty głoszę”. Ironia była sokratejską bronią, i to bardzo skuteczną. Doprowadzała ona rozmówców Sokratesa do wściekłości. Nic dziwnego – być pokonanym... swoimi własnymi poglądami nie należy do przyjemności.

To tylko jeden z aspektów sokratejskich dialogów. Drugi jest jeszcze bardziej interesujący. Sokrates miał głębokie przekonanie, iż z każdym człowiekiem można odbyć wspólnie pielgrzymkę do prawdy. Rozmówca sam z siebie jest zdolny do jej odkrycia. Ona jest zawarta w nim samym. Nie trzeba mu niczego narzucać, nauczać, przekazywać, instruować. Wystarczy tylko pomoc. Stąd nazwa tej metody – metoda położnicza. Położna jedynie pomaga w przyjęciu dziecka na świat. Dziecko znajduje się w rodzącej kobiecie, a nie w położnej. Podobnie jest z prawdą: człowiek ją nosi w sobie, jak kobieta dziecko w swoim łonie, potrzebna jest jedynie pomoc w jej „przyjściu na świat”. W większości wypadków człowiek jest już „brzemienny” w prawdę, ma tylko problemy z jej „urodzeniem”. Czyż to nie jest niezwykle?

Warto rozwijać w sobie te cudowne skarby (myśli, duchowości, spojrzenia na otaczający świat), o których posiadanie Sokrates podejrzewa każdego z nas. Są to „perły” naszego wnętrza, które czasami trzeba tylko wydobyć na światło dzienne. Jak? Przez uważne zasłuchanie się w drugą osobę. Czasami nie potrzeba niczego więcej. Zasłuchanie samo w sobie ma przedziwną moc. To prawda, że czasami łatwiej nam przychodzi mówić niż słuchać (choć może nie zawsze). Cienimy osoby, które zawsze są gotowe i potrafią nas wysłuchać - w każdej sytuacji, o każdej porze, „rzucając wszystko”, aby posłuchać z uwagą i skupieniem, tego, co chcemy powiedzieć. Wysłuchać oznacza oczywiście nie tylko „przyjąć do wiadomości”, tak jak słucha się informacji w dzienniku telewizyjnym, ale odkryć jak ważne jest dla rozmówcy to wszystko, o czym opowiada. Trzeba nauczyć się „czytać” w uczuciach, jakie temu towarzyszą, dostrzec je i w pełni zaakceptować. Istotne jest także, aby pokazać sobą (zachowaniem, gestem, spojrzeniem, delikatnym słowem), że rozumiemy, co rzeczywiście znaczą wypowiedziane słowa, jaki jest ich sens. To jest ważniejsze niż znalezienie gotowych recept i odpowiedzi na zaistniałe problemy. Umiejętność zasłuchania jest jednym z piękniejszych znaków dojrzałej miłości. Ważne jest, by znajdować zawsze niezwykłą radość w słuchaniu ukochanej osoby - cokolwiek mówi, opowiada – nieistotne, czy są to rzeczy małe i codzienne, czy też dzieli się swoim najskrytszymi myślami, uczuciami, przeżyciami. Za wszelką cenę musimy zawsze znajdować czas na rozmowę i wzajemne zasłuchanie. Czerpać z tego przeogromną przyjemność. W takiej chwili nic innego nie jest

ważne, nawet cały natłok naszych myśli, przeżyć, które sami chcielibyśmy wypowiedzieć. One mogą chwilę zaczekać. Teraz chcemy słuchać i słuchać. W takich momentach może nawet sami się dziwimy (choć jest to jak najbardziej normalne, a nie dziwne), że nigdy nas to nie nudzi taka rozmowa, że nie jesteśmy w stanie nawet pomyśleć: „ile można o tym mówić, jak długo, po co, kiedy już skończy, dlaczego ja zawsze muszę tego wysłuchiwać?”. Przyznam, że trochę denerwowała mnie jedna z reklam telewizyjnych (prawdę mówiąc denerwują mnie prawie wszystkie), która wyśmiewała (oczywiście moim zadaniem) ważną potrzebę wzajemnego zasluchania. Dziewczyna prasując opowiada swojemu chłopakowi o tym, co zaszło u niej w ostatnim czasie. On, „znudzony” jej niekończącym się potokiem słów, rzuca „dziurę” na ścianę i wyskakuje przez nią na piwo. Gdy wraca, okazuje się, że „nic nie stracił” - dziewczyna nadal prasuję, ciągle „gada”, nawet nie zauważyła jego zniknięcia. Prawdą jest, że czasami mówimy za dużo i rzeczy całkowicie niepotrzebne, ale może byłoby inaczej, gdybyśmy zostali choć raz do końca wysłuchani. Coraz trudniej przychodzi nam zasluchać się w drugiego. Słuchać, nie przygotowując jednocześnie riposty, nie z litości lub dla świętego spokoju, nie wyczekując z utęsknieniem aż skończy i odzyskamy nasz święty spokój. Wsłuchać się nie tylko w słowa, ale przede wszystkim w uczucia, które się za nimi kryją.

Sokrates był niekwestionowanym mistrzem dialogu, rozmowy. Ale wiedział dobrze, jak ważna jest umiejętność „prowadzenia rozmowy przez zasluchanie”. Prawda narodzi się sama – z wnętrza naszego rozmówcy.